Rok 1898. Lwów, dnia 4. lipca. Nr. 26.

ECHO LITERACKIE

Dodatek tygodniowy „Dziennika Polskiego“

Redaktor: Izydor Kuncewicz.

„OCOLLO I COZAIBA“

Legenda południowo-amerykańskiego szczepu Quichua.

W dość daleko posuniętej cywilizacji państwa Inkasów, stanowisko towarzyskie kobiety było daleko wyższem niż u niektórych ludów klasycznej starożytności. Podczas gdy Chińczycy powątpiewali o istnieniu ducha u kobiety, gdy Grecy traktowali ją jako niewolnicę, gdy Turcy trzymali ją w więzieniu zwanem haremem, a inne ludy składały z niej ofiary bóstwom, wśród Quichuasów, panującego szczepu w państwie Inkasów — ludu, którego dawna cywilizacja może jeszcze badaczom przynieść niejedną cenną zdobycz — kobieta zajmowała niejednokrotnie wyższe stanowiska państwowe, wywierała wielki wpływ na losy swego narodu, niejednokrotnie też na czele wojsk wyruszała w pole.

Zaraz gdy pierwsi zuchwali *conquistadores* — zwycięzcy — stanęli na ziemi amerykańskiej, siostra obrońcy Tumberu, Amazili, za pomocą strzał swych i dzielnego postępowania zdecydowała o losie tego miasta. Gdyż, skoro dostała się w ręce nieprzyjaciół, a ci jako wykup za nią żądali wydania miasta, wolała rzucić się w morze, niż wystawić brata na tak ciężką próbę.

W następującej legendzie występują również dwie kobiety w nadzwyczajnie ważne misji państwowej, chociaż już nie jako bohaterki, owiane duchem patrjotycznym.

Po strasznej rzezi w Cajamarce, w której Inkas dostał się do niewoli, a przeszło 20.000 wojowników pozostało na placu boju, kapłani, Curacasi — poważni z ludu — i pozostali członkowie królewskiej rodziny Inkasów zebrali się w świątyni słońca, aby się naradzić nad dwiema kwestjami, niesłychanie ważnemi dla uratowania kraju.

Jedną z nich była kwestja wykupu Inkasa, na który musiano poświęcić niezliczone skarby świątyni i króla, a druga, daleko ważniejsza, polegała na tem, aby skonstatować w jakikolwiek bądź sposób, czy ci na rączych i postrach budzących potworach [1]) jeżdżący, niepokonani wojownicy o białej barwie skóry, z długiemi brodami [2]), których urodziło morze na postrach i zgubę dzieci słońca [3]), są w rzeczywistości półbogami i nieśmiertelnymi, czy też jak wszyscy inni podlegają ludzkim cierpieniom i słabościom. W pierwszym wypadku każdy opór byłby bezużytecznym, w drugim, należało walczyć dalej.

W celu rozstrzygnięcia tych dwóch tak ważnych kwestyj, musiały do służby państwowej wstąpić dwie kobiety. Tak postanowili: *Virallac-Humu* — arcykapłan i *Amautasi* — uczeni.

Ocollo, piękna ulubiona żona Atahualpy — Inkasa — otrzymała polecenie wykupu męża i zawarcia zawieszenia broni, a Cozaibie, dzielnej łowczyni, która samą tylko potęgą słowa i swych wdzięków kobiecych zdołała poprowadzić na pole walki liczne zastępy Peruańczyków, polecono załatwienie drugiej kwestji.

Dla tej kobiety, która aż do tej pory zachowała czystość i niewinność, takie zadanie było bardzo wstrętnem; chodziło tu jednak o dobro ojczyzny, i żadna ofiara nie mogła być uważana za wielką.

Obie kobiety przyjęły więc natychmiast powierzone im role i w towarzystwie kilku tylko niewolnic, udały się do obozu nieprzyjacielskiego. Uczeni chcieli jeszcze dziewiczej Cozaibie udzielić kilku rad, arcykapłan jednak zauważył słusznie, że kobiety w każdym razie znają się lepiej na sztuce uwodzenia.

Conquistadores przyjęli tę szczególną wizytę po rycersku. Franciszek Pizzarro miał powiedzieć do Ocollo, która na kolanach błagała go, aby jej pozwolił widzieć się z Inkasem:

— Wstań, piękna Peruanko, i uspokój się! Możesz się zobaczyć z tym szczęśliwym śmiertelnikiem, który kiedyś znajdował się w tak zazdrości godnem położeniu, iż posiadał ciebie!

Przy tych słowach oczy zahartowanego wojownika zdradzały głębokie wrażenie, jakie wywarła na nim ta piękna kobieta. Zachował jednak całą godność i dumę i rozkazał, aby Peruankę zaprowadzić do Atahualpy i pozwolić im się rozmówić, ale przy świadkach i w obecności tłumacza.

Cozaiba, która stosownie do swej misji ubraną była z przepychem, podczas rozmowy z Pizzarem zachowała całą

[1]) Indjanie nie znali koni.

[2]) Indjanie, jak wiadomo, posiadają albo bardzo skromny zarost, albo też żadnego.

[3]) Indjanie byli czcicielami słońca.

swą dumę niewieścią i milczała. Nie przeszkadzało to jednak wcale, iż jej płomienisty wzrok przemawiał wymownemi słowy do obecnego brata Franciszka, Hernanda. Z właściwą w tych rzeczach kobietom wrażliwością odczuła prędko, że jej istota i na dumnego, rzekomego półboga nie pozostała bez wpływu. Ku swemu własnemu zdumieniu spostrzegła jednak, że jej dotychczas wobec każdego mężczyzny zachowywana obojętność na widok tych świetnie uzbrojonych postaci rycerskich poczyna znikać — i, twarz jej dumna, zapłonęła wspaniałym rumieńcem.

Hernando zapałał miłością ku pięknej dziewicy, którą już oddawna podziwiał zdaleka w otwartej walce, a korzystając z chwili, gdy ich nikt nie obserwował, rzekł do niej:

— O północy idę z oddziałem wojsk moich do sąsiedniego obozu i będę cię szukał nad brzegami płynącego tam strumyka, aby ci powierzyć bardzo ważną tajemnicę.

Cozaiba skinęła głową potakująco.

Ocollo spełniła swoje zadanie. Okup za Inkasa i cena za zawieszenie broni zostały ustanowione. Sala dwadzieścia dwie stóp długa i trzynaście stóp szeroka miała być napełniona złotem, aż do wysokości, do jakiej dosięgnie ręka dostojnego więźnia. Cozaiba natomiast rzekła do wielkich swego narodu, że dopiero po wyznaczonej schadzce będzie mogła coś pewnego powiedzieć o zadaniu, jakie jej poruczono.

Gdy nadeszła oznaczona przez Hernanda godzina, ten niecierpliwie przechadzał się we wskazanem miejscu. Wiatr dął lekki, a niebo jasne, bez chmur, patrzyło miljonami gwiazd-oczu. Mały oddział indjańskich wojowników kroczył powoli z Cozaibą na czele, wśród cichych dźwięków marsza żałobnego na pole walki, aby ziemskim powłokom ukochanych zmarłych oddać ostatnią posługę. A gdy wojownicy spełniali swój smutny obowiązek, oddaliła się Cozaiba niepostrzeżenie i pobiegła do Hernanda.

Gdy stanęli oko w oko, nie mogli z początku znaleść słów do wyrażenia swych uczuć. Oboje byli ogarnięci gwałtowną namiętnością, ale także napełniał ich pewien wstyd przed sobą. Nareszcie Hiszpan przerwał milczenie, a z ust jego popłynęły oświadczenia miłosne. Cozaiba jednak prędko przerwała mu następującemi słowy:

— O synu słońca [1]), i ty ważysz się tak bezcześcić noc świętą, mówić mi o miłości, podczas gdy lud mój śpiewa pieśń żałobną?

— Świętemi także dla nas są te uczucia, które budzi w nas czysta miłość — odparł Hernando, ujmując rękę Cozaiby — a pan nieskończoności, który rządzi naszymi losami i który mnie natchnął taką miłością ku tobie, nie może tego zganić, że nawet w tak uroczystej i poważnej chwili wyznaję ci uczucia moje.

Cozaiba nie stawiała już oporu, gdyż i ona czuła, że jakaś wyższa potęga pcha ją w objęcia tego rycerza. I tak wstrętna dla niej początkowo rola uwodzicielki zmieniła się w rolę namiętnej kochanki. Czuła rozmowa nie byłaby się skończyła, gdyby *Chasca* — gwiazda poranna — nie była się ukazała na niebie, zapowiadając rychłe ukazanie się Boga-słońca, przenikającego wszystko. Rozłączyli się, umówiwszy poprzednio następną schadzkę.

We dnie wezwano Cozaibę przed świętą radę, zebraną w świątyni słońca, aby urzędowo zdała sprawę z powierzonej jej misji. Kobieta, posiadająca nieograniczone zaufanie swego narodu, oświadczyła wówczas uroczyście, że nie wątpi bynajmniej o boskiem pochodzeniu tych nadzwyczajnych istot.

Wobec tego, postonowiono odwołać wszystkich dowódzców, zbierających w całym kraju nowych wojowników w celu obrony ojczyzny, Ruminahniego — kamienne oko — dzielnego Zulmiego, Calcuchimę i innych, i poddać się bez oporu zwycięzcom. Gdyż co mogła zrobić t k wysoka liczba śmiertelnych przeciwko istotom, które miały do swego rozporządzenia nadziemski potęgi?

I stała się w ten sposób rzecz nie do uwierzenia, że garstka stu ośmdziesięciu, coprawda dzielnych i odważnych i w dobrą broń zaopatrzonych ludzi, zdobyła wielkie, dobrze rządzone państwo, rozporządzające mnóstwem dzielnych wojowników. Stało się to wskutek nieograniczonej obawy przed czemś nadnaturalnem, żywionej przez zdradę słabej kobiety.

Pokój zawarto pod upokarzającymi dla państwa Inkasów warunkami, a kobieta ta, jeszcze długo chodziła do Hernanda, aby z ust jego słyszeć słowa miłości, a później nawet, wskutek nalegań kochanka i mnicha Valverde przeszła na wiarę chrześcjańską. Nie przyznała się też nigdy, że *conquistadores* — to zwyczajni ludzie z temi samemi namiętnościami i słabostkami, co Indjanie i wszyscy inni mieszkańcy ziemi.

Spisał

Julian T'....

[1]) Indjanie byli czcicielami słońca, a ponieważ „Conquistadores" słynęli u nich jako pół bogi, przeto nazywali ich synami słońca.

WACŁAW STACHIERSKI

ABSTRAKCJE.

Zjawisko.

Był dziwny, dziwny dzień.
Słońce czerwone wstawszy rano
Szło jakoś chwiejnie, kręto, pjano
I rudy w trawę słał się cień.

Potworów ślizkie grzbiety w miale,
Jaszczurek wielkie oczy z wrzosów,
Błyszczały martwo. Od niebiosów
Szedł wiater ciężko i ospale.

Drzewa szeptały coś z ljanami,
Paproć się gięła w łuki senna,
Szła jakaś wielka nieodmienna
Moc, co drętwiła swym oddechem.

Lasu się gęsta czerń otwarła,
Jak oczu głąb, gdy wyjrzy z powiek,
Natura w piersiach dech zaparła...

. . . .

Z lasu wyskoczył: zwierzę-człowiek.

Westalka.

Marmur. Mrok. Półokrągłą biegą linią ściany,
Na ołtarzu tli sennie, nieśmiało i rdzawo
Płomień. Czasem zabłyśnie Westy profil krwawo,
Czasem jęknie westchnienia szept cichy, urwany.

Cisza. Życie oblewa dźwięczną, barwną falą
Marmurowego grobu ciało w sen zaklęte.
Plamą białą błyskają szaty rozciągnięte
Kapłanki, na podłodze. I jakieś się żalą

Pod kopułą westchnienia. A może w tem ciele
Białem, serce się tłucze, jak w ptaku co wpadnie
W świeży grób, gdy na wnijście ciężka płyta
[spadnie?

I nie wiedzą, nie wiedzą bogini czciciele,
Że na płytach ołtarza w hekatombie tleją
Żywi ludzie, z pragnieniemszczęścia i nadzieją!..

Nie wiem.

Widzę Cię, jak na płótnie widzę pęk cyklamów,
Rzuconych ręką mistrza w pośpiechu, bezładnie.

Lecz co będzie gdy z płatków korona opadnie?
Jakie się kryją rzeczy wśród kwiatu załamów?...

Nie wiemy co w tym przepysznym bukiecie cy-
[klamów
Pod osłoną kielichów ukrywa się na dnie...

Nowa myśl.

Czuję Cię, idziesz...
A kwiaty chylą trwożnie korony pod twych stóp
[dotknięciem.
Idziesz Ty, co masz umrzeć jeszcze przed po-
[częciem,
Ty, co musnąwszy mię włosów splotem, potem
[szydzisz,
I tylko wielką próżnię zostawiasz za sobą
W którą się, wyjąc wściekle, wiatry cisną!...
Ty z nocy urodzona! Czyż nigdy nie zwisną
Twoje białe ramiona na mej piersi drżącej?
Czyż nigdy nie usłyszę muzyki grającej
Przyszłych hymnów splątane i drżące akordy?!...
Czyś mi przyniosła znowu na swe, dłoni białej
Jeszcze jedną kropelkę żółtej bolu rosy?...
A kiedy wzrok podniesiesz na moje niebiosy
Gasisz gwiazdy spojrzeniem! — O, może dlatego,
Żem Cię nie zrobił serca mego niewolnicą,
Żem Cię nie zgiął do ziemi żelazną prawicą,
Możem dlatego jeszcze nie widział na niebie
Mojego szczęścia... I może dlatego —
Nikogom dotąd jeszcze nie kochał prócz Ciebie!...

Kochanie.

Siada z harfą śpiewak młody,
Nad zwierciadłem leśnej wody.
Gra i śpiewa długo, długo,
Aż się echo leśne męczy
I aż harfa sennie brzęczy
Nad zieloną, leśną strugą...

Nad trawę i nad kwiaty wznosi się pomału
Łeb żmiji przebudzonej, gotowej do skoku.
Tysiąc się żądz krwiożerczych w wielkiem pali
[oku
I z paszczy, przyduszony wychodzi syk szału...

Harfa silniej zabrzękła pod harfiarza ręką
I echa orzeźwione zahuczały chórem...

W pół drogi gad zdrętwiał i zawisł w powietrzu,
Jakby zmarł nagle i paść nie miał siły.
Dziwnie się ślizkie kręgi jak z bolu skręciły,
Zgasła mu w oczach siła i syk dziki ustał...

Cud trwa
Póki harfa gra
Póki młody śpiewak nuci...
Potem żmiji siła wróci.

Trzymasz kochanki na swej piersi głowę,
W duszę jej lejesz strofy słów magicznych.
Jakto? Nie widzisz błysków fosforycznych?
Wpatrz się, wpatrz lepiej, w oczy szafirowe...
Widzisz? — Jej siła obumarła wróci...
. . . .
I zginiesz biedny grajku w tej nierównej walce,
Jeśli ci struny pękną, lub omdleją palce.

Hieroglify w Abydos.

Nieznaną kute ręką, dla umarłych oczu,
Ryte w szarym piaskowcu or zapadłych znaki —
Chmurą barwną usiadły, jak wędrowne ptaki,
Dawnych jakichś płomieni połyskując tęczą.

Suną się jak gadziny, kręto, lub obręczą
Otaczają kolosów nogi, jak żebraki,
Hołdy czyniąc. To znowu mkną na wąskie szlaki
Ścianą skalną, na której wiatry głucho jęczą.

Zapadłych w prochy światów, martwe, stare,
[ślady,
Szkielety wpół rozpadłe zwianych dawno wierzeń,
Poszarpane od żwiru pustyni uderzeń...

Dziś ze smutnej otchłani mego „ja" wychodzę,
I okiem przyjaciela po grobowcach wodzę...
Pokochałem szmer cichy waszych smutnych
[zwierzeń!

Zwierzenie.

Dla brutalnych są uczuć brutalne wyrazy..
Wyciem się bunt odzywa instynktów ranionych,
Głosem hyjen w zawieję nocną podrażnionych,
Dzikie dźwięki, co dzikie malują obrazy.

Słyszałem je niestety tyle, tyle razy
Wyjące w mojej piersi, jak gdyby otwarto
Klatkę pełną tygrysów. Myśl krwawemi skazy
Ileż razy zbroczoną miałem i podartą!

Dzisiaj, kiedy zawyje huragan po szczytach
Moich pragnień, połamie latorośle marzeń,
I kiedy oddech zaprze w piersiach potok zdarzeń,

Dzisiaj, ach! na mej duszy twardych, chłodnych
[płytach,
Rozbijają się wichry.., co kruszą granity
I tylko widać zdala — na nich krzyż wyryty.

Palma.

Wyrosła tak wysoko, jakby ujrzeć chciała,
Jak się żółta pustynia szeroko rozlała.
Jakby głowę tęskniącą chciała ukryć w niebie
I rzadkim gościom — chmurom, chciała coś wy-
[szeptać...
Jakby piasek pustyni uprzykrzywszy deptać,
Dużo wiatru tam, w górze, chciała schwycić
[w siebie.

Na jałowej pustyni stoją palmy drżące.
Opuściły na wiatry bujnych pęki włosów
I czekają, czekają z pustyni odgłosów...
Jak dusze na pustkowiu tej ziemi tęskniące
Czekają. Coś się zbliża... To wiatr pędzi zdala
Tuman piasku i niesie cichy jęk szakala.

Zresztą nic. Do zachodu słońce kładzie głowę
I uśmiecha się słodko na dobranoc ziemi.
Niebiosa się tiulami pokryły złotemi
I cienie wypełzają w górę szmaragdowe...
Słońce jeszcze raz blaski jasnemi sypnęło
I na skraju pustyni w piaskach zatonęło.

Beztreściwa pustynio! twoje wyschłe łono
Wydało wielkie palmy, gdzie trawy nie rosną,
Gdzie wiater kwiatów bladych nie zaniesie
[z wiosną.
Wystrzeliła pod niebo zieloną koroną
Tęsknota, córa pustyń widoczna zdaleka...
Jak sztandar opuszczony i czeka i czeka.

GUSTAW MANTEUFFEL

PIERWIASTKI CYWILIZACJI NAD DOLNĄ DŹWINĄ.

Dokończenie.

IV.

Jakkolwiek sztuka ówczesna była przeważnie religijną, nie ograniczała się jednak wyłącznie na samych tylko kościołach i klasztorach. Przekona nas o tem zastanowienie się nad pytaniem: jak też wyglądały niegdyś wnętrza licznych zamków tutejszych?

Była pod tym względem zapewne nie mała różnica między zamkami władców inflanckich, a obronnemi siedzibami miejscowego rycerstwa, różnica ta atoli posiada liczne stopniowania, czego wielu badaczy przeszłości nadbałtyckiej dotąd jeszcze należycie nie uwzględnia.

Nie należy zapominać, iż wszystkie te zamki i zameczki, które po większej części bywają dziś oceniane ze szczątków zwalisk po nich pozostałych, — służyły przedewszystkiem ku obronie mieszkańców i że każdy taki zamek ulegał niejednokrotnie zniszczeniu ogniem i mieczem, a nawet zupełnemu zburzeniu. Co się pożarom i napadom wrogów szczęśliwie oprzeć zdołało, to dziś przedstawia po większej części tylko nagie mury, tylko kształty zewnętrzne pojedynczych zamków, a kształty te nie tyle potrzebowały odpowiadać warunkom estetyki, jak raczej potrzebom obronnym.

Jeślibyśmy byli zmuszeni wydać sąd o Malborgu, głównej siedzibie niemiecko-krzyżackiego zakonu — oceniając ten warunek wyłącznie z jego kształtów zewnętrznych, nigdybyśmy przeczuwać nie mogli, iż wnętrze tego gmachu stanowi dzieło sztuki tak niezwykle wysokiej wartości, iż najwięksi znawcy[1]) widzą tu „tryumfy“, odniesione przez architekturę krzyżacką w dziedzinie sztuki.

I dlaczegoż główne zamki tegoż krzyżackiego zakonu w Inflantach, które niegdyś stanowiły najbogatsze z krajów krzyżackich, tak bardzo miałyby się różnić od Malborga?

Sądząc z całego ich ustroju, takie naprzykład zamki inflanckie, jak wendeński i feliński, nie wiele musiały ustępować podziwianemu i dotąd powszechnie zamkowi malborskiemu. Z pozostałej bowiem do dni naszych cząstki zamku wendeńskiego niepodobna powziąć niekorzystnego wyobrażenia o jego wewnętrznej strukturze, a wykopaliska felińskie, przekonywują dosadnie, że

[1]) Obacz Lubke, „Grundriss der Kunstgeschichte“, tom II., str. 28.

potrójny zamek w Felinie już samemi swemi rozmiarami przewyższał o wiele sławiony dziś powszechnie zamek malborski.

Na miejscu dawnego horodyszcza Sakalanów, „Viliendą" zwanego, wzniesiono olbrzymi zamek feliński pomimo trudności, jakie tam przedstawiał zupełny brak ciosowego kamienia, który zdaleka sprowadzać musiano, co wszelako nie przeszkodziło architektom ówczesnym stworzyć w tej budowli ozdoby plastyczne, zdumiewające swym prawdziwym artyzmem i dzisiaj jeszcze budowniczych nadbałtyckich.

Najbardziej atoli zachwyca znawców część średnia zamku, zawierająca aż cztery piętra.

Najniższą kondygnację stanowi zamkowa piwnica. Ciężkie, olbrzymich rozmiarów sklepienie, odpowiadające co do podziału osi sklepieniom refektarza (czyli tak zwanego *Remter*), po nad nią się znajdującego, wyrasta nakształt potężnych kloszów z kilku ogromnych monolitów. Silne sklepienne żebra o kwadratowym przekroju nadają całości charakter korzeni olbrzymich drzew, których pnie, przechodzące jako słupy granitowe przez wszystkie piętra, kończą się na najwyższem lekką koroną, pozostałych tu i ówdzie palmistych sklepień.

Jeśli w kilku nawowych salach zgromadzeń zakonnorycerskich *(Remterbau der Ordensschlösser)* rozwiązano po mistrzowsku niełatwe zaiste zadanie połączenia potęgi i mocy z urokiem prawdziwej lekkości i wdzięku, wiejących z palmistych i siatkowych sklepień, opartych tu i ówdzie na wspaniałych monolitach, to dla ożywienia płaszczyzn umiano umiejętnie wyzyskać sztukę malarską i rzeźbiarską. Światła jaskrawsze, których niebo północne odmawia krainom nadbałtyckim, usiłowano zastąpić bogactwem kunsztownych witrażów, sklepienia gotyckie starano się ożywić nietylko przez bogate rozczłonkowanie pojedynczych podłączy, pasów i żeber, ale i przez uroczą polichromię, a jednostajność płaszczyzn ściennych usuwano umiejętnie, za pomocą dębowych okładzin (boazerji) i pięknych malowideł. To też ówczesna sztuka malarska zdobiła oczywiście nietylko kościoły, ale i zamki nadbałtyckie, w których nawet niepoślednią odgrywała ona rolę. Na szczególną baczność zasługuje fakt, że nietylko kościoły od epoki odrodzenia, ale jeszcze w czasie najzupełniejszego rozwoju gotycyzmu, rezydencje władców zakonu inflanckiego, posiadały całkowite galerje obrazów, złożone z portretów mistrzów prowincjonalnych, arcybiskupów i biskupów. Nawet w zamku piltyńskim, który stanowił rezydencję najmniej potężnego ze wszyskich władców nadbałyckich, istniała już w wieku XV. galerja biskupów kurońskich, jak to dokładnie wykazują archiwa piltyńskie.

Samo wyliczenie głównych nadbałtyckich zamków obronnych, wedle czasu, w jakim wzniesione zostały, przedstawia nam równocześnie obraz postępu w zaborach krain tutejszych przez kolonję zachodnio-chrześcjańską i jednym rzutem oka daje nam objąć pojedyncze fazy tych zaborów.

Pierwszy kamienny zamek obronny wzniósł błogosławiony Mejnard w miejscowości Ykeskola (*Uekskull)* w roku 1185.

Miasto Ryga wcześniej zostało założone, niż zamek ryski kawalerów mieczowych, która to okoliczność stanowi wyjątek w regule, gdyż miasta i osady inflanckie powstały wszystkie aż do wieku XVI. u podzamcza siedzib obronnych, które im dawały pożądaną ochronę.

Zabór kraju wychodził wprost z Rygi; to też na prawym brzegu Dźwiny i nad rzeką Torejdą (czyli inflancką Aa) wzniesiono niebawem całe szeregi zamków, bądź biskupich, jako to: Kokenhuza, Zelburg, Torejda i t. d., bądź to zakonu rycerskiego, jako to: Zygwald (czyli Segewolde) Aszrada i Kieś (czyli Wenden); ten ostatni wzniósł Winno, pierwszy mistrz inflanckiego zakonu kawalerów mieczowych.

Na miejscu dawnych drewniach horodyszcz tubylców-pogan, wznosili zachodni chrześcjanie swoje kamienne domy warowne. Te zachowywały zwykle dawną nazwę pogańską i tylko niekiedy otrzymywały nową. Tak powstały zamki: Felin, Dorpat i Rewel. W Rewlu na górze warownej, noszącej obecnie nazwę „Domberg", wznieśli kawalerowie mieczowi swój zamek, nazywany „zamkiem małym" w przeciwstawieniu do całości góry warownej, uważanej niegdyś za jedno olbrzymie zamczysko.

Pierwszą siedzibę obronną w Semigalji założono w roku 1232 w pobliżu horodyszcza Mezoten, warownia ta wszakże już w roku 1236 przez pogańskich Semigalów obróconą została w perzynę; następnie, w roku 1321 wznieśli tamże inflanccy krzyżacy nowy zamek obronny.

W roku 1240 założono na brzegach Newy zamek obronny „Nu" [1]), w którym osadzono osobnego komtura, zamek ten atoli nie zdołał się utrzymać długo.

Natomiast trwałą obronę zakonu stanowiły założone w dawnej Kuronji zamki: Goldynga (r. 1242), Memel (r. 1252), oraz Mitawa (r. 1328). Z tych zamków jeden tylko Memel w r. 1328 odstąpiony został pruskiej gałęzi krzyżaków.

W temże XIII. stuleciu wzniesiono w dawnej Kuronji rycerskie zamki: Ambrten, Kandawę, Doblenę, Durben, Zabeln, Dondangę, Windawę, oraz zamek biskupi Piltyń. Znaczenie wszystkich tych zamków i zameczków upadło dopiero wtedy, gdy w końcu XIII. wieku potęgę pogańskich Łotyszów raz na zawsze całkowicie złamano. W późniejszych czasach służyły one zarówno, jak kilka innych, później wzniesionych zamków (np. Tukum, Neuenburg) już tylko za tamę przeciw hufcom litewskim, wkraczającym nieraz do Inflant.

Większa część tych zamków obronnych [2]) stanowi dziś już tylko malownicze ruiny, inne, dotąd zamieszkałe (np. Kryżbork w Inflantach polskich, Neuenburg, Dondanga, Windawa, Edwal w Kurlandji), tylu zmianom w kolei czasów uległy, że trudno o tem powziąć dokładne wyobrażenie, jak się one właściwie w XIII. stuleciu oczom ludzkim przedstawiały?

W północnych częściach krain inflanckich w tymże wieku XIII. założone jeszcze zostały zamki: Parnawa, Biały Kamień (czyli *Weissenstein)*, Hapsal, Karkus i Helmet, oraz zameczek Arensburg na wyspie Ozylji, nakoniec na lądzie stałym Oberpalen, Wezenberg, tudzież całe szeregi zamków arcybiskupich, jako to: Kremona, Ronneburg, Torejda, Cruceborch czyli Kryżbork, Marienhauz i t. p.

Najbardziej na wschód wysuniętym posterunkiem był zamek Wolkimborg na południowym brzegu jeziora Raźna (w późniejszych Inflantach polskich) położony,

---

[1]) Na miejscu tegoż zamczyska założył Piotr I. nadnewską stolicę Petersburg.

[2]) Naliczono ich dotąd w dawnych krajach inflanckich aż 159.

lecz wkrótce opuszczony, gdyż już w roku 1278 dawną komturję wolkimborską przeniesiono do starego Dynaburga na brzeg nieopodal płynącej głównej arterji wodnej kraju — Dźwiny.

W r. 1285 wzniesiono w tejże części Inflant zamek Rzeżycę *(arx Rositensis, Burg Rositen,* a po łotewsku *Rejsekne)* nad bystrą rzeką tejże nazwy, sąsiedni zaś Lucyn *arx Lucinensis, Burg Ludsen,* po łotewsku *Ludza)* nad jeziorem Łudzą stanął dopiero o sto kilkadziesiąt lat później.

Silnie obwarowane opactwa miały już w wieku XIII. kraje inflanckie w Djamencie ustąpionym przez duchowieństwo krzyżakom w r. 1305 i odtąd siedzibę komtura stanowiącym), w Falkenawie, Dorpacie i w Paddis.

Po zniszczeniu w r. 1297 najdawniejszego zamku rycersko-zakonnego w Rydze, mistrz prowincjonalny Eberhard Monheim założył w r. 1330 w temże mieście, ale na innem miejscu, nad samym brzegiem Dźwiny, nowy zamek i w tymże czasie wzmocnił zamki Mitawę i Doblenę, a później także Terwetę. Za jego następcy, za mistrza Goswina Herike, wzniesiono na wyspie Ozylji zamek rycersko-zakonny Sonneburg, oraz w r. 1342 inflanckie zameczki pograniczne Marienburg i Neuhauzę.

W czasach późniejszych nie wznoszono już nowych zamków obronnych; rozszerzano je tylko i wzmacniano stosownie do potrzeb czasu. W roku 1447 stanął Bowsk na miejscu zburzonego niegdyś zamczyska Mezoten, a w r. 1471 mistrz inflancki, Woltus Herse, zbudował na stromem estońskiem wybrzeżu morskiem zameczek Tolsburg, który był powodem do licznych nadużyć wyuzdanego w owym czasie krzyżactwa, zabawiającego się między innemi i korsarstwem

W r. 1484 zburzyli zagniewani ryżanie raz jeszcze zamek inflancko-krzyżacki, do murów ich miasta przytykający. Atoli to zburzenie nie było całkowite, gdyż najnowsze poszukiwania miejscowego Towarzystwa starożytności dowiodły jasno, iż wiele dawnych jego części pozostało niemal nietkniętych. Tenże dzisiejszy zamek ryski wykończył ostatecznie w r. 1515 mistrz inflancko-krzyżacki Wolter Plettenberg, a w tym samym mniej więcej czasie (w r. 1509) przebudował i odnowił arcybiskup Gaspar Linde zamek marjenhauzki leżący w dzisiejszych Inflantach polskich na pograniczu gubernji pskowskiej.

Oprócz wspomnianych powyżej zamków biskupich, arcybiskupich i zakonno-rycerskich, posiadały kraje nadbałtyckie niemało zameczków prywatnych, które zamożniejsze rody rycerskie w rozmaitych częściach kraju dla siebie wznosiły, a których całe szeregi reprodukują wiernie liczne wydawnictwa nad Bałtykiem. Najnowszem z tych ostatnich jest olbrzymich rozmiarów księga *Terra Mariana*, ofiarowana przez katolików nadbałtyckich Leonowi XIII. na uczczenie jego jubileuszu kapłaństwa. Zmniejszonem wydaniem tego dzieła naszego zajęła się jedna z większych firm wiedeńskich.

ALEKSANDER KIELLAND

POD SZTANDAREM PRACY.

Powieść.

(Przekład z norweskiego).

Ciąg dalszy.

Minister był w pełnej gali. Na piersiach błyszczały u niego wszystkie ordery i krzyże jakie tylko posiadał, trójkątny kapelusz trzymał pod pachą, na rękach miał rękawiczki. W przechodzie, pozdrawiał wszystkie grupy zebranych życzliwem skinieniem głowy i ręki. Lekko, swobodnie uśmiechnięty, kroczył z godnością przez salony.

Jednemu z kolegów podał rękę i szepnął mu słów kilka, na co tenże dyskretnym półuśmiechem odpowiedział. Rozmowy naokół uciszyły się nieco. Wszyscy zwracali baczną uwagę na ministra, podtrzymując jedynie dla pozoru konwersację między sobą.

Falck-Olsen, który właściwie już od kwadransa siedzieć był powinien na koniu, zbliżył się do ministra prędko, lecz nie konfidencjonalnie, bez przymusu, jak za czasów dawniejszych. Podszedł z wyrazem najgłębszej uniżoności na szerokiej swej twarzy. Minister pochylił się ku niemu dobrotliwie, a on szepnął:

— Biorę klacz bulaną!

Wszechmocny człowiek skinął głową przytakująco, poczem gruby handlarz — z miną kurjera co z ważnemi depeszami dwór monarszy opuszcza, wybiegł pobrzękując pałaszem i olśniewając zebranych nowiutkim swym uniformem.

Tymczasem minister Bennechen chodził dalej między gośćmi, mając dla każdego jakieś uprzejme słówko lub też instrukcję.

— Znalazłem przewodniczącego dla pańskiego komitetu — rzekł do rzeźbiarza. — Sędzia Hierth...

— Hm, ten pan tam przy oknie? — zapytał artysta z widocznem rozczarowaniem — ale czyż ten pan nie jest zupełnie obcym w stolicy?

— Nie będzie dłużej obcym... — szepnął minister.

— Ach, rozumiem! — odparł artysta po szwedzku i ściągnął brwi w górę.

W dalszym ciągu kładziono wielką wagę na to, że minister podał rękę Hierthowi, co zresztą czynił tylko u swoich

kolegów w ministerstwie; nominacja sędziego Hiertha na miejsce starego Falba nie ulegała teraz najmniejszej wątpliwości.

— Mówimy właśnie, pan redaktor Mortensen i ja o tem, jak to jednak dobrze jest, że w tych ciężkich czasach możemy liczyć bezwarunkowo w każdym wypadku na stan duchowny i sędziowski — rzekł sędzia z pewnym rodzajem dumy.

— Czyli innemi słowy — odparł minister — że religja i prawo znajdują się po naszej stronie.

— Co to za człowiek! — westchnął sędzia Hierth, gdy minister poszedł dalej; musiał mimowoli jego odpowiedź porównywać z odpowiedzią wielkiego człowieka, a podczas, gdy wyglądał przez okno, dodał: — Tak jest, w rzeczywistości wiele do tego potrzeba, aby wypełnić takie stanowisko...

— Pozwoli pan mini... pan sędzia — przerwał mu Mortensen głosem pełnym uszanowania, pozwoli pan sobie przypomnieć stare dobre przysłowie: komu Bóg daje urząd, tego też obdarzy siłą i zdolnością sprawowania go.

— Dzięki za te słowa, dzięki, panie redaktorze — wybuchnął sędzia i uchwycił skwapliwie rękę Mortensena — tak, masz pan słuszność, wszystko razem musi przyjść z góry!

Podniósł oczy na jasne, wiosenne niebo, sklepione nad dachami domów.

Teraz zaczęli referendarze Hierth i Bennechen otwierać z hukiem szampana, co było ich udziałem w wydarzeniach tego ważnego dnia. Towarzystwo przeszło do sali jadalnej, gdzie minister powoli zgromadzał najdostojniejszych przy wyższym końcu stołu.

Nastąpiła cisza pełna oczekiwania, gdy minister podniósł kieliszek i zaczął mówić:

— Panowie! Gdy powiodę wzrokiem po tem zgromadzeniu, to mimowoli nastręcza mi się jedna myśl. Co to jest, co nas wszystkich tak silnie łączy? Tak, to wspólna praca dla wspólnego oddania się naszemu wzniosłemu monarsze.

Mortensen, stojący za firanką, musiał się uśmiechnąć, podczas gdy to notował. Pomyślał o mowie, ktorą w tej samej sali i na ten sam temat wygłosił, tylko przed inną publicznością.

Tymczasem mowa ministra nabrała dziś wyższego polotu jak zwykle; szczególnie koniec zapisal sobie Mortensen dokładnie:

— Tak, panowie! Mówi się tyle o tem, że nasze czasy są czasami pracy. Ale tylko niewielu jest — mówię to z ubolewaniem — tylko niewielu jest, którzy rozumieją dobrze, co to znaczy prawdziwa praca, kto jest prawdziwem pracownikiem w kraju. Jestto bowiem — minister obejrzał się dokoła — koło ludzi, którzy więcej kochają porządek niż wolę własną, którzy wierni i posłuszni nietykalnym prawdom, jakie nam pozostawili nasi ojcowie w swych ustawach i w swej wierze pobożnej, trzymają straż dokoła tronu, w tem głębokiem przekonaniu, że to, co w czasach rozluźnienia i rozpadania spaja społeczeństwo i silnemi węzły splata najszlachetniejsze dobra narodu — że to ma swój pukt wyjścia i jednoczy się w uświęconej osobie króla. Panowie! Bóg niech chroni jego królewską mość!

— Niech żyje król! — ryknął pułkownik Grobs i nastąpiło takie „hura", że aż szklanki zadrżały; nawet najwięcej zasuszeni urzędnicy ministerjalni krzyczeli tak, że im aż twarze zsiniały. Przytem spoglądali z pod oka jeden na drugiego, aby się przekonać, czy też każdy obowiązek swój wypełnia.

Właśnie ucichło się nieco, gdy wszedł lokaj i podał ministrowi telegram na tacy.

Minister otworzył i przeczytał śród pobożnego milczenia otaczających go osób.

— Moi panowie! za pół godziny stanie pociąg królewski na dworcu!

Słowa te wywarły ogólne poruszenie; minister skinął wszakże ręką i znów nastała cisza.

— Moi panowie! — rzekł głębokim, uroczystym głosem — każdy ma swój posterunek! Chwila jest ważna. Jego królewska mość oczekuje, że każdy spełni swą powinność.

Po tych słowach, pożegnał wszystkich lekkiem skinieniem głowy, dał znak sędziemu Hierthowi i wraz z nim zniknął w małych tapetowych drzwiczkach. Portjera cicho zapadła za nimi.

W podniosłem usposobieniu rozproszyli się zebrani, Mortensen zaś zapisal w swym notatniku: „Był to jeden z tych wielkich momentów, których się nigdy nie zapomina, w których czuje się niejako uderzenie pulsu historji światowej"...

Pani Bennechen opuściła już dawniej towarzystwo i, znużona wrażeniami całego dnia, padła jak martwa na sofę.

W pustych salonach pozostał tylko Jerzy Delphin. Chodził niespokojnie tam i nazad, nie mogąc się zdecydować aby wejść. Zdawało mu się, że nie powinien opuszczać tego domu, nie zobaczywszy się wpierw z Hildą.

Służący, mężczyźni i dziewczęta, sprzątali ze stołów, przypijali do siebie resztkami szampana i śmieli się tak głośno, że szambelan uznał za stosowne schronić się w najodleglejszym gabinecie. Był niezadowolony sam z siebie, mimoto nie miał siły by się oddalić.

Wreszcie, przywołał przechodzącą mimo, znajomą pokojówkę i zapytał ją o Hildę.

— Panienka jest w swym pokoju. Pakuje się. Czy pan szambelan nie wie, że panienka odjeżdża dziś wieczór do Ameryki?.. — rzekła dziewczyna której oczy błyszczały od szampana.

Delphin doznał bardzo przykrego uczucia.

— Proszę zapytać odemnie pannę Bennechen — ozwał się po krótkim namyśle — czy nie byłaby tak łaskawą poświęcić mi chwilę rozmowy? Pragnąłbym bardzo widzieć się z nią nim odjedzie...

Gdy jednak dziewczyna poszła, stanął przerażony przed lustrem: co on uczynił? czy nie poszedł już za daleko? czego on od niej chce? jak się wyplątać? a przecież, czy nie było-to, czego życzył sobie najwięcej?

Po kilku minutach przyszła Hilda. Płakała; ale była jakoś dziwnie spokojną, co szambelanowi wnet wpadło w oczy.

— Biedna matka! — rzekła i podała mu obie ręce — jest tak trudno pojąć, iż ja i Jan udajemy się tak daleko. Tak, nie mogę tego sama zrozumieć.

Delphin zapomniał poprostu mowy, tak mu się wydała zmienioną. Nie było w niej ani śladu lękliwości. W swej gładkiej, skromnej sukience wyglądała tak silną, tak przygotowaną do podróży; było coś tak pewnego w jej głosie i w całej jej istocie, że nie mógł odnaleść swego zwykłego, napół żartobliwego, na pół szyderczego tonu.

— Będę z pewnością nieraz bardzo za panią tęsknił — rzekł wreszcie niepewnie.

Więcej głos niż słowa jego zwróciły jej uwagę, oczy ich spotkały się na chwilę i nastąpiła krótka cisza:

— I nic pani tu zatrzymać nie może? — zapytał gorzko.

— Ach tak, możesz pan sobie wyobrazić!..

Oczy jej napełniły się łzami.

Patrzył na nią ze wszystkich stron, gdy tak stała ze spuszczoną głową, okręcając chustkę dokoła palców. Czy rzeczywiście była tak brzydką?

— I nie ma rzeczywiście nic, coby panią powstrzymać mogło?

— Dlaczego chcesz pan uczynić mi ten odjazd przykrzejszym jeszcze? — zapytała cicho i zaczęła płakać.

Jerzy Delphin zrobił krok naprzód. Miał uczucie, że życie nastręcza mu dobrą sposobność i że to jest po raz ostatni. Starał się skupić w sobie wszystko, co tylko w nim najlepszego. Gdy jednak stanął przed nią, podniosła szybko głowę i rzekła:

— Nie, nie chcę płakać więcej! Wiem, że czeka mnie lepsze życie, niż tutaj, w domu. Żegnam pana, panie szambelanie i dzięki, serdeczne dzięki za pańską przyjaźń.

Podała mu rękę i spojrzała na niego bystro i odważnie temi wiernemi, psiemi oczyma, pełnemi łez; i w ostatniej chwili spostrzegł, że była piękną, ale już było zapóźno.

Poszła i zostawiła za sobą na pół otwarte drzwi. Hałas z sali jadalnej dotarł znowu do jego uszu. Stał przez chwilę, wziął kapelusz i wyszedł z domu ministra cichy i pokorny.

Na schodach dogonili go referendarze Hierth i Bennechen, którzy właśnie schodzili ze strychu. Z „narażeniem życia“ przytwierdzili na dachu wielką chorągiew.

XIX.

Dużo czasu upłynęło zanim Njaedel i naczelnik pilotów znaleźli stary, nieprzyjemny szpital, w którym leżała Krystyna; i gdyby nie byli przypadkiem spotkali sierżanta policji Knudsena i nie zapytali go się, z pewnością nie byliby go znaleźli.

Była już bowiem trzecia godzina i ludzie biegli na ulicę Karola Jana, aby zobaczyć wjazd króla, tak że nikt nie miał czasu stanąc i dać wyjaśnienie.

Sierżant policji Knudsen jednak, który czas próby przebył szczęśliwie, doprowadził ich pod szpital, usłyszawszy, kogo szukają. Weszli na górę.

W bramie spotkali jedną z dozorczyń, idącą do miasta. Naczelnik pozdrowił ją swą futrzaną czapką.

— Chcielibyśmy się widzieć z pewną kobietą; nazywa się Krystyna Mo.

— Umarła tej nocy — odparła dozorczyni niecierpliwie — leży w drugich drzwiach na lewo; idźcie tam tylko, właśnie z nią skończyli.

Poszła i zatrzasnęła za sobą drzwi.

— No, no Njaedel, może to była najlepsza rzecz, co ją mogła spotkać... — rzekł naczelnik uspakajająco. — Chodź, pójdziemy.

— Chcę ją widzieć — odparł Njaedel i poszedł.

Przyszli do drugich drzwi, które stały na pół otwarte. Naczelnik otworzył drzwi i weszli.

W środku pokoju stało kilku młodych ludzi nachylonych nad czemś wielkiem, białem, co leżało na stole. Mały, siwy człowiek, z odwiniętymi rękawami stał między nimi, a między dwoma panami znajdowała się biała, goła noga.

— Nigdy nie widziałem tak szybkiego postępu — rzekł doktor Rohde do profesora.

Stary cynik nie mógł sobie odmówić tego, aby nie zaprosić profesora do tego zajmującego wypadku. Jan Bennechen wyraźnie zakazał przenosić zwłoki do uniwersytetu.

— Ale jej mąż?... Co z tym się dzieje? — zapytał profesor.

— Choroba uderzy u niego na mózg... zwarjuje. Czego chcecie? — zapytał nagle doktor, gdy ujrzał stojących we drzwiach.

— To jest jej ojciec, który ją chce zobaczyć — rzekł naczelnik.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wiadomości artystyczne i literackie.

Sienkiewicz należy do rzędu najpoczytniejszych pisarzy obcych w Rosji. Ze sprawozdania biblioteki publicznej w Dorpacie dowiadujemy się, że autor „Quo vadis“ zajmuje pierwsze miejsce pośród pisarzy nierosyjskich. Po nim dopiero następuje Zola. Z rosyjskich autorów przewyższa Sienkiewicza jeden Tołstoj.

Max Halbe, autor dramatu pt. „Młodość“ (Die Jugend) pisze nowy utwór, który będzie jednocześnie wystawiony w Berlinie i Wiedniu.

Znany badacz muzyki p. Poliński w Warszawie, otrzymał z Berlina zwitek nut, będący przyczynkiem do działalności St. Moniuszki, jako muzyka-humorysty. Zmarły już kompozytor berliński Stern, ofiarował autorowi „Halki“ umyślnie napisaną przez siebie pieśń z tekstem niemieckim. Wywdzięczając się za to, wielki muzyk nasz ułożył dla Sterna pieśń w ten sposób, iż melodję jego własnego utworu odwrócił, począwszy od ostatniego taktu ku pierwszemu i trawestację tę zaopatrzył w osobny podkład harmoniczny.

„Russkij trud“ drukuje przekład „Listów do cudzej żony“ Klemensa Junoszy.

„Kijewlanin“ zamieścił w fejletonie tłómaczenie powieści Artura Gruszeckiego pt.: „W starym dworze“.

Na ostatniem posiedzeniu komisji dla historji sztuki, istniejącej przy krakowskiej Akademji Umiejętności odczytał prof. Wł. Łuszczkiewicz rozprawę na temat: „Przyczynek do dziejów architektury kościołów wiejskich w Polsce średniowiecznej“.